

Ekonomiczne perspektywy

Zanik trosk ekonomicznych, bezrobocie technologiczne, krótki dzień pracy, moralna odnowa – tak John Maynard Keynes wyobrażał sobie świat za 100 lat w słynnym eseju z 1930 r. Po kryzysowym 2020 r. nie ma już wątpliwości, że jego założenia wymagają głębokiej rewizji

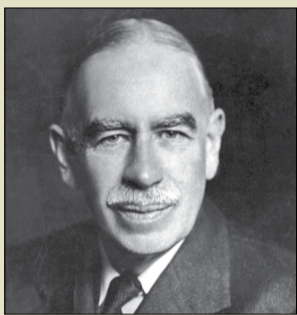
ESEJ

Midtown Manhattan, Nowy Jork, lata 20.

Obcenie panuje powszechny pesymizm dotyczący gospodarki. Często można usłyszeć, że epoka ogromnego postępu gospodarczego, który charakteryzował XIX wiek, dobiegła końca, że szybka poprawa standardu życia ulegnie teraz spowolnieniu, w każdym razie w Wielkiej Brytanii, że w nadchodzącej dekadzie ograniczenie dobrobytu jest bardziej prawdopodobne niż jego wzrost.

Uważam, że jest to całkowicie błędna interpretacja tego, czego doświadczamy. Cierpimy nie z powodu reumatyzmu starości, ale w następstwie bólów nadmiernie szybkich zmian, wskutek procesów dostosowawczych w okresie przejściowym. Rozwój efektywności technicznej następuje szybciej niż rozwiązywanie problemu absorpcji siły roboczej; poprawa standardu życia jest przy tym nadzwyczaj gwałtowna. Światowy system bankowy i walutowy uniemożliwia wystarczająco szybkie obniżanie stóp procentowych z punktu widzenia zachowania równowagi. Mimo to marnotrawstwo i chaos, które z tego wynikają, pochłaniają nie więcej niż 7,5 proc. dochodu narodowego. Marnujemy 1 szyling i 6 pensów na każdego funta i zostaje nam tylko 18 szylingów 6 pensów, podczas gdy moglibyśmy mieć cały funt, gdybyśmy byli bardziej rozsądni; niemniej jednak dzisiejsze 18 szylingów 6 pensów ma wartość 1 funta sprzed pięciu czy sześciu lat. Zapominamy, że w 1929 r. produkcja przemysłowa Wielkiej Brytanii była największa w historii, a nadwyżka netto naszego salda obrotów zagranicznych, którą można było przeznaczyć na nowe inwestycje zagraniczne, po opłaceniu całego importu, była w zeszłym roku większa niż w jakimkolwiek innym kraju, przewyższając o 50 proc. nadwyżkę Stanów Zjednoczonych. Dla porównania, gdybyśmy obniżyli nasze płace o połowę, zrezygnowali z czterech piątych długu narodowego i gromadzili nadwyżkę majątku w sztabkach złota, zamiast pożyczać na 6 proc. lub więcej, przypominilibyśmy Francję, której tak zazdrościmy. Ale czy oznaczałoby to poprawę?

Panujący na świecie kryzys gospodarczy, wyjątkowo wielkie bezrobocie utrzymujące się mimo ogromu potrzeb, katastrofalne błędy, które popełniliśmy, sprawiają, że nie widzimy tego, co dzieje się pod powierzchnią, nie potrafimy prawidłowo zinterpretować rzeczywistości. Przewiduję bowiem, że oba przeciwstawne pesymistyczne przekonania,



JOHN MAYNARD KEYNES

angielski ekonomista, który zakwestionował dogmaty ekonomii neoklasycznej i stworzył doktrynę interwencjonizmu państwowego. Jego największe dzieło to „Ogólna teoria zatrudnienia, procentu i pieniądza” (1936)

o których teraz tak głośno na świecie – zarówno pesymizm rewolucjonistów, którzy myślą, że jest tak źle, że oprócz gwałtownej zmiany nic już nie może nas uratować, jak i pesymizm reakcjonistów, według których równowaga naszego życia gospodarczego i społecznego jest tak niepewna, że nie można ryzykować żadnych eksperymentów, okażą się pomyłką.

Moim celem w tym eseju nie jest jednak badanie teraźniejszości ani przewidywanie najbliższych lat, ale spojrzenie w dalszą przyszłość. Jakiego poziomu życia gospodarczego możemy oczekiwać za 100 lat? Jakie są perspektywy ekonomiczne dla naszych wnuków?

Od najdawniejszych czasów, o których mamy dane, powiedzmy, do dwóch tysięcy lat przed Chrystusem aż do początku XVIII wieku, zmiany w poziomie życia przeciętnego człowieka w cywilizowanych obszarach świata nie były radykalne. Oczywiście, były wzloty i upadki, zarazy, wojny i głód. Złote czasy. Ale bez gwałtownej zmiany rozwojowej. Na przestrzeni czterech tysięcy lat, powiedzmy do 1700 r., niektóre okresy były lepsze niż inne, ale maksymalnie o 100 proc.

To powolne tempo postępu (lub jego brak) wynikało z dwóch powodów – nie było znaczących ulepszeń technicznych oraz nie następowała akumulacja kapitału.

Brak przełomowych wynalazków technicznych między epoką prehistoryczną a stosunkowo współczesnymi czasami jest naprawdę uderzający. Prawie wszystko, co naprawdę istotne i co ludzkość posiadała na początku ery nowożytnej, było znane człowiekowi już u zarania dziejów. Język, ogień, te same zwierzęta domowe, które mamy dzisiaj, pszenica, jęczmień, winorośl i oliwka, pług, koło, wiosło, żagiel, skóra i płótno, cegły i garnki, złoto i srebro, miedź, cyna, ołów i żelazo były znane przed 1000 r. p.n.e. Podobnie jak bankowość, struktury polityczne, matematyka, astronomia i religia. Nie ma źródeł pisanych, które by nam powiedziały, od kiedy są z nami.

W jakiejś epoce prehistorycznej, być może nawet w jednym ze sprzyjających okresów przed ostatnią epoką lodowcową, musiała istnieć era postępu i wynalazków porównywalna z tą, w której żyjemy dzisiaj. Ale przez większą część historii pisanej nic takiego się nie wydarzyło.

Myślę, że era nowożytna rozpoczęła się wraz z akumulacją kapitału, której początek sięga XVI wieku. Uważam – z powodów, których nie mogę rozwinąć w niniejszym wy-

wodzie – że zjawisko to zostało zainicjowane przez wzrost cen i zysków w następstwie napływu złota i srebra przywożonego przez Hiszpanów z Nowego Świata do Starego. Od tego czasu do dnia dzisiejszego odrodziła się moc kumulacji odsetek składanych, która była uspiona przez wiele pokoleń. A siła procentu składanego przez 200 lat jest niewyobrazalna.

Aby to zilustrować, przeprowadziłem pewne obliczenia. Obecną wartość inwestycji zagranicznych Wielkiej Brytanii szacuje się na około 4 000 000 000 funtów. Dają nam one dochód w wysokości około 6,5 proc. Połowę tej kwoty transferujemy do kraju i korzystamy z niej. Drugą połowę, czyli 3,25 proc., gromadzimy za granicą na zasadzie procentu składanego. Dzieje się tak od mniej więcej 250 lat.

Uważam, że brytyjskie inwestycje zagraniczne rozpoczęły się od rabunku hiszpańskich skarbów przez Drake'a w 1580 r., gdy przywiózł do Anglii ogromne łupy na okręcie Złota Łania. Królowa Elżbieta była znaczącym udziałowcem konsorcjum, które sfinansowało jego wyprawę. Ze swojego udziału spłaciła cały zagraniczny dług Anglii, zbilansowała budżet i zostało jej jeszcze około 40 000 funtów, które zainwestowała w Kompanię Lewantyńską. Z jej zysków powstała z kolei Kompania Wschodnioindyjska, której dochody stały się podstawą późniejszych zagranicznych inwestycji Anglii. Okazuje się, że 40 000 funtów akumulowanych na poziomie 3,25 proc. składanych odsetek odpowiada w przybliżeniu rzeczywistej wielkości inwestycji zagranicznych Anglii w różnych okresach, a teraz równa się sumie 4 000 000 000 funtów, o których już wspominałem w kontekście naszych obecnych inwestycji zagranicznych. Zatem każdy funt, który Drake przywiózł w 1580 r., do dnia dzisiejszego został pomnożony 100 000-krotnie. Tak wielka jest siła procentu składanego!

W XVI wieku rozpoczęła się wielka epoka wynalazków naukowych i technicznych, która przybrała na sile w wieku XVIII, by osiągnąć apogeum na początku XIX wieku – węgiel, para, prąd, benzyna, stal, guma, bawełna, przemysł chemiczny, automatyzacja i metody masowej produkcji, radio, druk, Newton, Darwin i Einstein oraz tysiące innych rzeczy i ludzi zbyt znanych, by ich wymieniać.

Co osiągnęliśmy? Mimo ogromnego wzrostu liczby ludności na świecie, której trzeba było zapewnić domy i urządzenia, oceniam, że średni standard życia w Europie i Stanach Zjednoczonych wzrósł czterokrotnie. Wzrost

dla naszych wnuków

kapitału przekroczył ponad stokrotnie osiągnięcia jakiegokolwiek innej epoki. Przy czym dalszy wzrost populacji w przyszłości nie powinien być już tak intensywny.

Jeśli kapitał będzie wzrastał na przykład o 2 proc. rocznie, kapitał rzeczowy na świecie wzrośnie o połowę w ciągu 20 lat, a siedem i pół razy w ciągu 100 lat. Pomyślmy o tym w kategoriach rzeczy materialnych – mieszkań, środków transportu i tym podobnych.

Jednocześnie w ostatnich 10 latach postęp techniczny w zakresie produkcji i transportu był najszybszy w historii. W Stanach Zjednoczonych produkcja przemysłowa na mieszkańca w 1925 r. była o 40 proc. większa niż w 1919 r. W Europie mamy przejściowe problemy, ale mimo to można śmiało powiedzieć, że wydajność przemysłu rośnie o ponad 1 proc. w stosunku rocznym. Istnieją dowody na to, że rewolucyjne zmiany techniczne, które dotychczas dotyczyły głównie przemysłu, mogą wkrótce dotrzeć do rolnictwa. Być może jesteśmy w przededniu poprawy wydajności produkcji żywności tak dużej, jak ta, która już miała miejsce w górnictwie, przemyśle i transporcie. Jeszcze za naszego życia możemy być w stanie prowadzić wszystkie prace w rolnictwie, górnictwie i przemyśle wytwórczym przy pomocy jednej czwartej obecnego nakładu siły roboczej.

W chwili obecnej sama szybkość tych zmian jest dokuczliwa, powodując poważne problemy. Kraje, które nie znajdują się w awangardzie postępu, są względnie poszkodowane. Chorujemy na nową chorobę, o której niektórzy czytelnicy być może jeszcze nie słyszeli, ale o której będzie głośno w nadchodzących latach, a mianowicie na bezrobocie technologiczne. Oznacza ono bezrobocie, które spowodowane jest wynajdowaniem sposobów ograniczania zapotrzebowania na siłę roboczą z szybszym niż generowanie nowych miejsc pracy.

Ale to tylko przejściowa faza niedostosowania. W długiej perspektywie wszystko to oznacza, że ludzkość rozwiązuje problem gospodarczy. Przewiduję, że za 100 lat poziom życia w krajach rozwiniętych będzie od czterech do ośmiu razy wyższy niż obecnie. Nie ma w tym wcale nic dziwnego, nawet w świetle naszej obecnej wiedzy. Nie byłoby przesadą rozważanie możliwości osiągnięcia jeszcze większego postępu.

Zalóżmy czysto teoretycznie, że za 100 lat wszyscy będziemy mieli sytuację ekonomiczną średnio ośmiokrotnie lepszą niż obecnie. Z całą pewnością nie byłoby to nic nadzwyczajnego. Należy tu nadmienić, że prawdą jest, iż potrzeby ludzi mogą wydawać się nienasycone. Jednak dzielą się one na dwie kategorie – potrzeby bezwzględne w tym sensie, że odczuwamy je niezależnie od sytuacji naszych bliźnich, oraz te, które nazywamy względnymi z tego powodu, że doświadczamy ich tylko wtedy, gdy ich zaspokojenie daje nam poczucie wyższości nad innymi. Potrzeby tego drugiego rodzaju, zaspokajające pragnienie wyższości, mogą być rzeczywiście nienasycone – im wyższy ogólny poziom dobrobytu, tym są one większe. Inaczej w przypadku potrzeb bezwzględnych, których zaspokojenie przejawia się tym, że wolimy przeznaczyć naszą energię na cele nieekonomiczne; być może osiągniemy to znacznie wcześniej, niż się tego spodziewamy.

A teraz konkluzja, która wydaje się tym bardziej zdumiewająca, im dłużej się o niej myśli.

Zakładając, iż nie będzie żadnych większych wojen i poważniejszego wzrostu liczby ludności, stawiam tezę, że problem ekonomiczny może zostać rozwiązany lub będzie bliski rozwiązania w ciągu nadchodzących 100 lat. Oznacza to, że w perspektywie długoterminowej kwestie ekonomiczne nie będą stałą troską człowieka. Dlaczego, można by zapytać, jest to takie zdumiewające? Otóż jeśli zamiast w przyszłość spojrzymy w przeszłość, to zobaczymy, że walka o przetrwanie zawsze była najważniejszą, najbardziej palącym problemem ludzkości, jak również całej przyrody ożywionej, od początków życia w jego najbardziej prymitywnych formach.

W związku z tym ewolucyjnie zostaliśmy w szczególnie sposób przygotowani przez naturę – ze wszystkimi naszymi impulsa-

mi i najgłębszymi pragnieniami – do radzenia sobie z problemem ekonomicznym. Jeśli ten problem zostanie w końcu rozwiązany, ludzkość zostanie pozbawiona swojego odwiecznego celu.

Czy będzie to korzystne? Jeśli w ogóle uznajemy istnienie prawdziwych wartości w życiu ludzkim, to perspektywa korzyści jest przynajmniej prawdopodobna. Jednak myślę z lękiem o zmianie nawyków i przekonań przeciętnego człowieka, które zostały ukształtowane na przestrzeni niezliczonych pokoleń. Możemy zostać zmuszeni do ich odrzucenia w ciągu zaledwie kilku dekad.

Używając dzisiejszego języka, czy możemy się spodziewać ogólnego „załamania nerwowego”? W pewien sposób już doświadczamy tego, co mam na myśli – pewien rodzaj załamania nerwowego jest obecnie dość powszechny w Anglii i Stanach Zjednoczonych wśród żon z zamożnych warstw społecznych. Bogactwo pozbawiło wiele z tych nieszczęśliwych kobiet tradycyjnych zadań i zajęć – nie są już pod wpływem przymusu ekonomicznego, aby gotować, sprzątać i szyć, a jednocześnie nie potrafią znaleźć dla siebie czegoś bardziej satysfakcjonującego.

Dla ludzi, którzy na co dzień ciężko pracują na utrzymanie, wypoczynek jest czymś wymarzone – do momentu, gdy go nie osiągną. Pewna starsza służąca napisała dla siebie epitaforium:

Nie oplakujcie mnie, przyjaciele, nigdy nie płaczcie za mną, / Bo zamierzam nic nie robić przez wieczność.

To było jej niebo. Podobnie jak inni, którzy nie mogą się doczekać wolnej chwili, wyobrażała sobie, jak miło byłoby spędzać czas, nic nie robiąc, tylko słuchając śpiewów, jak dalej o tym pisze:

Psalmami i słodką muzyką niebiosą będą rozbrzmiewać, / Ale ja śpiewać nie będę musiała.

Jednak w rzeczywistości takie życie będzie znośne tylko dla tych, którzy będą braли udział w owym śpiewie – ale jak niewielu z nas śpiewać potrafi!

Zatem po raz pierwszy od chwili stworzenia człowiek będzie musiał zmierzyć się ze swoim prawdziwym, niezmiennym problemem – jak korzystać ze swojej wolności od palących trosk ekonomicznych, jak spędzać wolny czas, który zdobędzie dla niego nauka i procent składany, jak żyć mądrze, harmonijnie i dobrze.

Gorliwi, zdeterminowani przedsiębiorcy mogą zaprowadzić nas wszystkich na łono gospodarczego dostatku. Ale tylko te narody, które rozwiną do pełniejszej doskonałości sztukę życia, nie sprzedając samych siebie za środki potrzebne na podstawowe potrzeby, będą w stanie korzystać z owego dostatku, kiedy nadejdzie.

Jednak myślę, że nie ma kraju ani narodu, który mógłby wypatrywać bez lęku ery wolnego czasu i bogactwa. Zbyt długo bowiem byliśmy przygotowani do zmagania, a nie do beztraski. Znalezienie sobie zajęcia stanowi wielki problem dla przeciętnej osoby bez specjalnych talentów, zwłaszcza jeśli nie jest już związana z rolą czy ze swojskimi obyczajami oraz konwenansami tradycyjnego społeczeństwa. Wnioskując na podstawie zachowań i osiągnięć najbogatszych warstw społecznych na całym świecie, trzeba przyznać, że perspektywy są bardzo przygnębiające! Gdyż właśnie te osoby to nasza straż przednia, która wypatruje ziemi obiecanej dla reszty z nas



Będziemy się starać, aby praca, która jeszcze pozostała do wykonania, była możliwie równomiernie rozdzielana wśród jak najszerzego grona osób. Praca w wymiarze trzech godzin na dzień, czyli piętnastogodzinny tydzień pracy, może odsunąć problem na długi czas

i rozbija tam obóz. W mojej ocenie większość z osób, które osiągają dochody bez konieczności

wykonywania pracy, bez pełnienia funkcji czy wykonywania obowiązków, poniosło kompromitującą porażkę w zakresie rozwiązania postawionego przed nimi problemu.

Jestem jednak przekonany, że gdy już nabędziemy nieco doświadczenia, wykorzystamy nowe dobrodziejstwa w zupełnie inny sposób od tego, jak żyją dzisiejsi bogacze, i całkiem inaczej pokierujemy naszym życiem.

Jeszcze długo przedwieczny Adam będzie w nas tak silny, że wszyscy będziemy musieli w jakimś wymiarze pracować, aby go zadowolić. Będziemy wykonywali więcej rzeczy we własnym zakresie niż dzisiejsi bogacze, ciesząc się ze swoich nieuciążliwych obowiązków i zadań. Będziemy się starać, aby praca, która jeszcze pozostała do wykonania, była możliwie równomiernie rozdzielana wśród jak najszerzego grona osób. Praca w wymiarze trzech godzin na dzień, czyli piętnastogodzinny tydzień pracy, może odsunąć problem na długi czas. Większości z nas trzy godziny dziennie wystarczą, aby zaspokoić naszego Adama!

Musimy się spodziewać również zmian w innych sferach. Kiedy gromadzenie majątku nie będzie już miało większego znaczenia społecznego, nastąpią wielkie zmiany w kodeksie moralnym. Będziemy mogli wyzbyć się wielu pseudomoralnych zasad, które nekowały nas od 200 lat, a które wynosiły do pozycji najwyższych cnót niektóre z najbardziej odpychających ludzkich cech. Będziemy mogli sobie pozwolić na to, by odważnie zmierzyć się z motywem pieniężnym. Miłość do pieniędzy jako przedmiotu posiadania – w odróżnieniu od miłości do pieniędzy jako środka koniecznego do życia – zostanie uznana za dość odrażającą przypadłość, jedną z tych na pół przestępczych, na pół patologicznych skłonności, którą wzdrygając się, powierzamy specjalistom od chorób psychicznych. Będziemy mogli wreszcie odrzucić wszelkiego rodzaju zwyczaje społeczne i praktyki gospodarcze wpływające na podział bogactwa oraz korzyści i kary ekonomiczne, które teraz utrzymujemy za wszelką cenę, niezależnie od tego, jak mogą być odpychające i niesprawiedliwe, ponieważ są niezwykle przydatne w promowaniu akumulacji kapitału.

Oczywiście, nadal będzie wielu ludzi o silnej, niezaspokojonej orientacji na cel, którzy będą ślepo gonić za bogactwem, chyba że znajdą jakiś wiarygodny substytut. Ale reszta z nas nie będzie już w obowiązku zachęcać ich albo im przyklaskiwać. Ciesząc się wyższym poziomem bezpieczeństwa niż obecnie, będziemy bardziej dociekać prawdziwego charakteru tej „orientacji na cel”, którą natura obdarzyła w różnym stopniu prawie każdego z nas. Orientacja ta oznacza, że bardziej interesują nas odległe przyszłe wyniki naszych działań niż ich jakość lub bezpośredni wpływ na nasze środowisko. Człowiek „zorientowany na cel” zawsze stara się zapewnić swoim czynom fałszywą i złudną nieśmiertelność, przesuwając swoje zainteresowanie w czasie. Nie kocha swojego kota, ale jego kocięta. Prawdę mówiąc, nawet nie jego kocięta, ale kocięta jego kociąt i tak dalej, aż do końca kociej rasy. Dla niego dżem nie jest dżemem, o ile nie jest to dżem jutra; nigdy nie będzie to dżem w chwili obecnej. W ten sposób, nieustannie przesuwając swój dżem w przyszłość, stara się zapewnić nieśmiertelność swojej czynności gotowania.

Pozwólcie, że przypomnę postać Profesora z „Przygód Sylwii i Bruna”:

„- To tylko krawiec, proszę pana, z pańskim rachunkiem – odezwał się cichy głos za drzwiami.

- No cóż, szybko załatwię tę sprawę – powiedział Profesor do dzieci. - Poczekajcie chwilę. Ile wynosi należność w tym roku, mój człowieku? – zwrócił się do krawca, który właśnie wszedł.

- Kwota podwaja się od tylu lat – odpowiedział krawiec nieco szorstko. - I poproszę o te pieniądze teraz. To już będzie dwa tysiące funtów!

- O, to nic wielkiego! – rzucił od niechcenia Profesor, dotykając kieszeni, jakby zawsze

miał przy sobie przynajmniej taką sumę. - Ale czy nie chciałbyś poczekać jeszcze jeden rok i zarobić cztery tysiące? Pomyśl tylko, jaki byłbyś bogaty! Mógłbyś być królem, gdybyś tylko zechciał!

- Nie wiem, czy zależy mi na byciu królem – powiedział w zamysleniu mężczyzna. - Ale to wygląda na potężną sumę pieniędzy! Chyba jednak poczekam...

- Oczywiście, że poczekasz! – powiedział Profesor. - Widzę, że postępujesz rozsądnie. Wszystkiego dobrego, mój człowieku!

- Czy kiedykolwiek będziesz musiał zapłacić mu te cztery tysiące funtów? – zapytała Sylwia, kiedy za wierzycielem zamknęły się drzwi.

- Nigdy, moje dziecko! – stanowczo odparł Profesor. - Będzie je podwajał, aż do śmierci. Widzisz, zawsze warto poczekać kolejny rok, aby dostać dwa razy więcej!”

Być może nie jest przypadkiem, że naród, który postawił obietnicę nieśmiertelności w samym sercu i istocie naszych religii, również najbardziej przyczynił się do rozwoju zasady procentu składanego i szczególnie ceni sobie tę najbardziej celową z ludzkich instytucji.

Uważam zatem, że mamy możliwość powrotu do niektórych z najbardziej tradycyjnych cnót i podstawowych zasad religii: że chciwość jest niemoralna, że lichwa jest występkiem, a miłość do pieniędzy jest obrzydliwością, że ścieżkami cnoty i mądrości podążają najpełniej ci, którzy najmniej myślą o jutrze. Ponownie będziemy cenić cele ponad środki i przedkładać dobro nad użyteczność. Będziemy szanować tych, którzy mogą nas nauczyć, jak dobrze chwycić dzień – tych wspaniałych ludzi, którzy potrafią czerpać przyjemność z rzeczy, niczym lilie polne, które nie pracują ani nie przędą.

Ale uwaga! Na to wszystko jeszcze nie pora. Musimy przynajmniej przez następne 100 lat udawać przed samymi sobą i przed innymi, że sprawiedliwość jest nieuczciwa, a nieuczciwość sprawiedliwa; ponieważ nieuczciwość jest przydatna, a sprawiedliwość nie. Chciwość, lichwa i ostrożność muszą pozostać naszymi bogami jeszcze na jakiś czas. Bo tylko one mogą wyprowadzić nas z tunelu ekonomicznej konieczności na światło dzienne.

Dlatego nie mogę się doczekać największej zmiany w materialnym środowisku człowieka, która nastąpi w niezbyt odległej przyszłości. Ale oczywiście wszystko to będzie wydarzało się stopniowo, bez katastroficznego przełomu. W rzeczywistości proces ten już się rozpoczął. Po prostu poszerzać się będą grupy i klasy ludzi wolnych od problemów konieczności ekonomicznej. Krytyczna różnica nastąpi, gdy stan ten będzie tak powszechny, że zmieni się charakter obowiązków wobec bliźniego. Być ekonomicznie celowym dla innych dalej będzie miało sens, nawet kiedy przestanie mieć sens dla nas samych.

Tempo, w jakim możemy dotrzeć do celu, jakim jest szczęście gospodarcze, będzie zależało od czterech czynników: naszej umiejętności kontrolowania liczebności populacji, naszej determinacji do unikania wojen i sporów społecznych, naszej chęci powierzenia nauce kierunku tych spraw, które są właściwie przedmiotem troski nauki oraz tempa akumulacji określanego przez różnicę między naszą produkcją a konsumpcją. Ostatnia kwestia z łatwością zadba o siebie, biorąc pod uwagę pierwsze trzy.

W międzyczasie można stopniowo przygotowywać się do naszego przeznaczenia, eksperymentując w zakresie sztuki życia oraz celowości działań.

Ale przede wszystkim nie należy przeceniać wagi problemu ekonomicznego ani poświęcać na jego rzekome potrzeby innych kwestii o większym i trwalszym znaczeniu. Powinno to być niczym sprawą dla specjalisty – jak w stomatologii. Byłoby wspaniale, gdyby ekonomiści potrafili myśleć o sobie jako o skromnych, kompetentnych ludziach, takich jak dentyści!

Esej pochodzi ze zbioru: John Maynard Keynes, „Essays in Persuasion”, New York: W.W. Norton & Co., 1963, str. 358–373, źródło oryginału: <http://www.econ.yale.edu/smith/econ16a/keynes1.pdf>

Tłumaczenie eseju opublikowano po raz pierwszy w „Biuletynie PTE” nr 4/2020

Tłum. Anna Kucharczyk
Konsultacja językowa James West, prof. Jerzy Osiatyński

Pochwała rentiera

**JERZY
OSIATYŃSKI**

prof. dr hab.,
Instytut Nauk
Ekonomicznych,
Polska Akademia Nauk



John Maynard Keynes zasłynął w nauce ekonomii i polityce gospodarczej głównie za sprawą swojej „Ogólnej teorii zatrudnienia, procentu i pieniądza” (1936). Wśród jego publicystycznych dzieł najlepiej znana jest książka o ekonomicznych konsekwencjach pokoju (1919).

Keynes bardzo krytycznie odniósł się w niej do postanowień traktatu wersalskiego nakładających na Niemcy reparacje wojenne, których nie były zdolne unieść. Uważał, że zamiast powojennej odbudowy i ożywienia gospodarczego w Europie mogło to doprowadzić jedynie do nowych konfliktów. Szkic „Perspektywy ekonomiczne dla naszych wnuków” jest zupełnie innej klasy, raczej ciekawostką i przykładem niezbyt udanej publicystyki autora.

Nie chodzi mi bynajmniej o ocenę prognoz Keynesa. Kiedy horyzont sięga stulecia, trudno oczekiwać nieprzypadkowej zbieżności prognoz z rzeczywistością. Zresztą przynajmniej pod jednym względem trafność przewidywań Keynesa co do kierunku i intensywności wpływu zmian popytu na siłę roboczą zasługuje na uznanie. Mimo wzrostu udziałów w produkcie narodowym sektorów usług o wysokiej pracochłonności (związanych z edukacją, zdrowiem czy opieką nad osobami starszymi), przyczyniających się częściowo do wydłużenia przeciętnego okresu życia, mimo stale rosnącego zapotrzebowania na siłę roboczą o wysokich i wyspecjalizowanych kwalifikacjach, a także mimo pewnego osłabienia intensywności postępu technicznego, zapotrzebowanie na siłę roboczą ma wyraźną tendencję malejącą. Nakłady pracy ogółem przypadające na jednostkę produktu narodowego maleją. „Chorujemy na nową chorobę, o której niektórzy cytelnicy być może jeszcze nie słyszeli, ale o której będzie głośno w nadchodzących latach, a mianowicie na bezrobocie technologiczne. Oznacza ono bezrobocie, które spowodowane jest wynajdowaniem sposobów ograniczania zapotrzebowania na siłę roboczą w tempie szybszym, niż generowanie nowych miejsc pracy” – zdania te mogłyby równie dobrze być napisane kilka czy kilkanaście lat temu. Brak pracy jest podstawą debaty o skracaniu tygodnia pracy czy o gwarantowanym zatrudnieniu i bezwarunkowym dochodzie, nad którymi się dziś zastanawiamy. Także prognozy Keynesa dotyczące dynamiki rozwoju okazują się trafne.

Mój krytyczny stosunek do jego artykułu dotyczy perspektywy rozważań. Sam tytuł szkicu uważam za mylący. W istocie powinien on brzmieć: „Perspektywy ekonomiczne dla wnuków bogatych dziadków i rodziców,

którym udało się ich bogactwo jeszcze pomnożyć”. Kwestie zróżnicowania podziału dochodów i nierówności społecznych są tu nieobecne. Artykuł jest napisany z punktu widzenia przedstawiciela klasy dobrze uposażonej, która może przeznaczyć część swoich dochodów na ich pomnażanie dzięki zyskom pochodzącym z właściwego ulokowania nagromadzonego kapitału. To jest pochwała postawy rentiera, który czerpie korzyści z procentu składanego. W istocie jest to oda do siły procentu składanego. Jeżeli zainwestujesz swój kapitał (nagromadzone oszczędności, spadek czy środki pochodzące z innych źródeł) na dobry procent, to choćbyś przejechał połowę czy inną część otrzymywanych z tego tytułu odsetek, resztę dodaj do kapitału i dalej „inwestuj”, co przyniesie ci dalsze dochody. Aż wkrótce nie będziesz musiał się „hańbić” jakąkolwiek pracą ani nie będą się nią musiały hańbić twoje wnuki i prawnuki. Ty zaś będziesz mógł się oddawać różnym przyjemnościom i rozkoszom jeszcze za życia doczesnego. Prawda, jaka piękna perspektywa! Teatr, poezja i proza, uczone debaty filozoficzne i społeczne. Wszystko, co było treścią upodobań dość snobistycznej grupy Bloomsbury, do której należał Keynes. Życie dostępne kiedyś tylko dla ludzi obdarzonych jedną lub kilkoma wioskami i co najmniej tysiącem „dusz”, które swoją pracą zapewniały właścicielowi staranną edukację i godziwe życie, teraz – dzięki procentowi składanemu – dawało szansę wyższej klasie średniej. Jednak zero, do jakiegokolwiek potęgi byś go nie podnosił, zawsze pozostaje zerem. To twarde prawo matematyki. Jak nie masz oszczędności i żyjesz z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, to dalej twoje oszczędności będą wynosiły zero i żaden procent składany na to nie pomoże. Ta sama zasada procentu składanego 80 lat później stała się według Thomasa Piketty’ego ważną dźwignią kumulacyjnego rozwarstwienia dochodów i majątku.

W dwóch wszakże kwestiach spostrzeżenia Keynesa są trafne i do dziś aktualne. Po pierwsze, kiedy postęp techniczny i cywilizacyjny nazbyt wyprzedza nasze tradycyjne wartości, obyczaje i przyzwyczajenia, następuje falowe cofanie się, pojawiają się nowe konserwatyzm i różne kontrewolucje, których stale doświadczamy. Postęp kulturowy nie jest liniową funkcją czasu.



Kwestie zróżnicowania podziału dochodów i nierówności społecznych są tu nieobecne. Artykuł jest napisany z punktu widzenia przedstawiciela klasy dobrze uposażonej, która może przeznaczyć część swoich dochodów na ich pomnażanie dzięki zyskom pochodzącym z właściwego ulokowania nagromadzonego kapitału

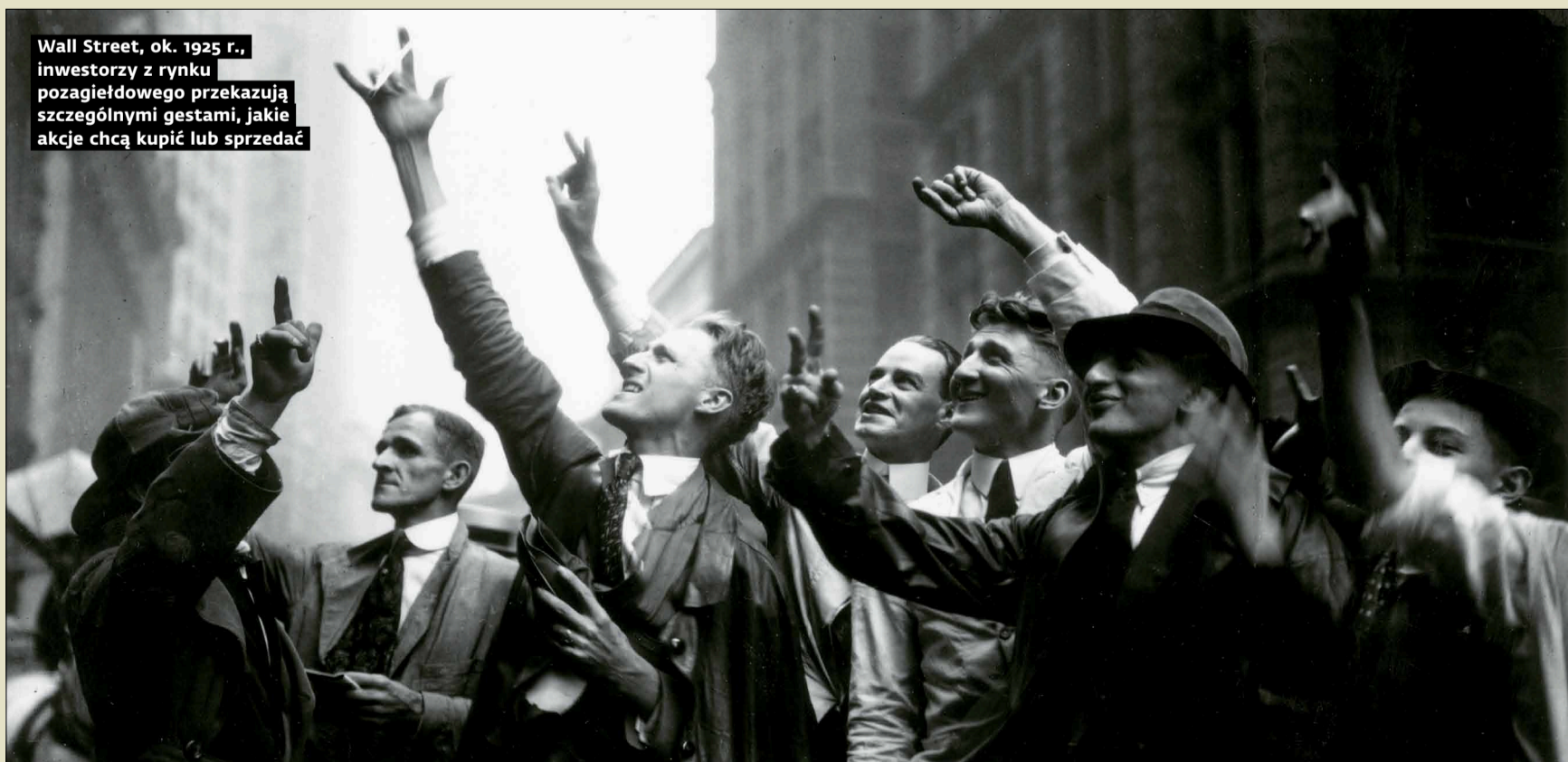
Drugie celne spostrzeżenie Keynesa dotyczy naszych pragnień. Od zarania dziejów pragniemy, aby ktoś na nas pracował, a my mogli się cieszyć błogosławionym wszystkim dostatkami. Życiem w raj. To prawda, że jest to niemożliwe. Ale i tak dążenie do takiego życia jest przedmiotem odwiecznych sporów. Według jednych tym dobrostanem niech cieszą się ci, którzy już mają. Według innych – niech owoce postępu i cywilizacji będą udziałem możliwie powszechnym. O kim i dla kogo Keynes pisał „Perspektywy dla wnuków”? Gdzie w tej opowieści są wnuki chłopów, robotników i innych, którzy produkt narodowy wypracowują? Gdzie są ich dziadkowie i pradziadkowie, którzy obciążeni piętnem grzechu Adama „w pocie czoła chleba swego codziennego dobywają”?

Tymi kwestiami Keynes zajmował się z powrotem w „Ogólnej teorii”, w której pisał m.in.: „Spekulanci mogą być nieszkodliwi, gdy są niczym piana na równym strumieniu przedsiębiorczości. Ale sytuacja staje się poważna, gdy przedsiębiorczość poczyna być pianą na wirze spekulacji. Gdy akumulacja kapitału jakiegoś kraju staje się ubocznym produktem gry hazardowej, wyniki będą zawsze oplakane”.

To nie jest kwestia zmiany perspektywy spowodowanej przebiegiem wielkiego kryzysu lat 1929–1933. Już na jego początku Keynes, podobnie jak Michał Kalecki, rekomendował zwiększanie wydatków publicznych i ekspansję fiskalną jako narzędzia walki z kryzysem. Skąd więc się wzięły te jego „perspektywy dla wnuków”, tak niespójne z tym, co w tym samym czasie rekomendował w polityce gospodarczej? Nie umiem tego wyjaśnić, ale nie wydają mi się one szczególnie udaną pozycją w wielkim dorobku naukowym Keynesa. O wiele lepszą i bardziej pouczającą (choć bynajmniej nie prostą) lekturą jest jego „Ogólna teoria”.

I jeszcze ostatnia uwaga. Otóż Keynes nie mógł przewidzieć – podobnie jak nie przewidział tego moje pokolenie czy pokolenie naszych dzieci – że naszych wnuków nasze prognozy, myśli i sentencje nic a nic nie będą już obchodziły. Że zerwie się międzypokoleniowa komunikacja i że będziemy im jedynie przeszkodą. Zdolne do pięknych, acz na ogół jednorazowych odruchów niesienia pomocy, nasze wnuki dość powszechnie sądzą, że byłoby najlepiej, gdyby nie musiały nas słyszeć. Troska o nasze życie czy zdrowie nie stały im na przeszkodzie w robieniu czegokolwiek zechcą, w tym w uczestniczeniu w publicznych spotkaniach i demonstracjach, nawet za cenę przywleczenia z nich zarazy, która ich dziadków zabije. A czego konkretnie chcą i jak chcą to osiągnąć? Kiedy wychodzą poza ogólne i skądinąd słuszne hasła, trudno to zrozumieć. Nie widzę ich własnych dróg do osiągnięcia celów, w których realizacji nasze pokolenia ich zdaniem zawiodły. Mają dla nas jedno soczyste słowo na „w”. A my mamy z tym problem, który Keynesowi nawet nie przyszedłby do głowy. Jest to problem międzypokoleniowej reintegracji. Nawet jeżeli nie dotyczy on całego pokolenia naszych dorosłych i dorastających wnuków, jest to jednak nasz wspólny problem. Bez względu na to, co dzisiaj każda z generacji nawzajem o sobie myśli. ©

Wall Street, ok. 1925 r., inwestorzy z rynku pozagiełdowego przekazują szczególnymi gestami, jakie akcje chcą kupić lub sprzedać



Różne drogi wyjścia z kryzysów

MARCIN KULA

prof. dr hab.,
Uniwersytet
Warszawski (emeritus),
Akademia Teatralna
im. Aleksandra
Zelwerowicza



Keynes napisał optymistyczny tekst. Mimo wielu trafnych obserwacji, fundamentalnie się w nim pomylił. Oczywiście kryzysy przychodzą i odchodzą. Ten, w trakcie którego pisał swój esej, też przeminął. Świat jednak wyszedł z niego ku wojnie i czemuś zupełnie innemu niż oczekiwano. „Nie należy przeceniać wagi problemu ekonomicznego” – mówi Keynes. Tak, gospodarka nadal rosła, ale iluż ludzi pozostawało pod

kreską? Ilu chciało czegoś innego? Teraz również wyjdziemy i z wirusa, i z kryzysu gospodarczego, jaki on wywoła. Ale ku czemu? Tukidydes zastanawiał się, co będzie po zarazie w Atenach. Zapytajmy też my. Czy wzocnią się tendencje nacjonalistyczne i autorytarne? Czy kraje zwiększą ochronę granic między sobą? Czy umocni się świat podzielony na biednych i bogatych? Czy nadal mnóstwo producentów i komponentów procesów produkcyjnych będą nam robić groszowo opłacani ludzie z dalekich stron? Czy ubodzy będą nas szturmować, my będziemy się przed nimi grodzić murami, zaś polski premier będzie dumny z niewpuszczania imigrantów? Przecież nie oddzielimy się od nich. Ich świat już jest u nas albo u sąsiadów. Nie wyjadą – a miejmy nadzieję, że nikt nie wymyśli kolejnego „ostatecznego rozwiązania”. Keynes miał rację, że nie problem ekonomiczny jest w tym wszystkim najważniejszy. ©P

Przeoczenie biskupa

Kiedy John Maynard Keynes w 1902 r. przystąpił do studiów matematycznych na Uniwersytecie w Cambridge, poznał słynnego filozofa i matematyka Bertranda Russella, który w swojej „Autobiografii” nakreślił wnikliwy portret ekonomisty: „Atmosfera w pokoleniu o 10 lat młodszym od mojego była kształtowana głównie przez Lyttona Stracheya i Keynesa. Różnica w klimacie umysłowym powstała w tych 10 latach była zaskakująca. My jeszcze byliśmy wiktoriańscy; oni już byli edwardiańscy. My wierzyliśmy w postęp zapewniany przez politykę i wolną dyskusję. Pewniejsi siebie spośród nas może mieli nadzieję prowadzić tłumy; ale nikt z nas nie chciał oddzielić się od mas. Pokolenie Keynesa i Lyttona nie chciało zachować żadnego pokrewieństwa z Filistynami. Ich celem było raczej życie w stanie spoczynku, pośród wzniosłych nastrojów i pięknych uczuć, zaś dobro rozumieli jako namiętne, wzajemne zachwyty wąskiej elity”.

Russell przyznał, że Keynes uciekł z tego otoczenia do wielkiego świata, ale ucieczka nie była całkowita: „Chodził po świecie stale z poczuciem biskupa in partibus infidelium (tytuł nadawany biskupom, pod których diecezje podlegali niewierni – red.). Prawdziwe zbawienie leżało gdzie indziej, wśród wiernych w Cambridge. Kiedy zajmował się polityką i ekonomią, duszę swoją zostawiał w domu”. Od tej reguły Russell wdział u Keynesa jeden wielki wyjątek – pracę „Konsekwencje ekonomiczne pokoju”.

W Cambridge w tamtych czasach „fellows” (pracownicy uniwersytetu) musieli mieć

JAN TOPOROWSKI

profesor SOAS
University
of London



wsparcie dobrze usytuowanej rodziny lub prywatny dochód niezależny od uczelni. Bez tego Ralph George Hawtrey, przyjaciel i ekonomiczny rywal Keynesa, musiał całe życie pracować w Ministerstwie Finansów (Treasury) Zjednoczonego Królestwa. Podobnie jak sam Keynes, któremu dopiero odpowiednia suma zarobiona na rynkach walutowych umożliwiła odejście z ministerstwa, aby napisać „Konsekwencje ekonomiczne pokoju” (w Polsce skazane przez nacjonalistów na niesławę).

Być może to przywiązanie do Cambridge wyjaśnia wielką lukę w artykule „Perspektywy ekonomiczne dla naszych wnuków”. Za źródło kryzysu 1930 r. i niepokoju tamtych czasów autor uznał nadmierne zamięłowanie do bogactwa, szczególnie do pieniądza. Nie ma tam mowy o kwestii podziału dochodów w kapitalizmie. Sześć lat później w swojej „Ogólnej teorii” Keynes zauważył tę lukę w pierwszym zdaniu ostatniego rozdziału: „Dwiema najważniejszymi wadami systemu społeczno-gospodarczego, w którym żyjemy, są: niezdolność do realizowania pełnego zatrudnienia oraz dowolny i niesprawiedliwy podział bogactwa i dochodów”. Tę lukę wypełnił swoją teorią polski ekonomista Michał Kalecki. ©P

Niedosyt postępu

Lektura prorocznego tekstu Johna Maynarda Keynesa skłania mnie do dwóch uwag. Po pierwsze, autor miał rację, że wielkie kryzysy nie są oznaką postępującej starości ludzkości, lecz wynikiem trudności adaptacji do szybkich i nagłych zmian oraz nieradzenia sobie z nieprzewidywanymi wstrząsami. Tak było podczas kryzysu lat 2009–2011, wywołanego perturbacjami na rynkach finansowych, i tak jest obecnie podczas kryzysu związanego z pandemią. Po drugie, w ciągu minionych 100 lat ludzkość dokonała ogromnego postępu w budowie materialnego dobrobytu. Ale nadal wiele osób na świecie umiera z głodu i braku lekarstw. Wraz z dalszym wzrostem gospodarczym będzie się rozszerzać populacja ludzi wolnych od przymusu ekonomicznego. Można więc mieć nadzieję, że – zgodnie z prognozą

ZBIGNIEW MATKOWSKI

dr hab.,
emerytowany pracownik
naukowy SGH



Keynesa – będą następować również pozytywne zmiany w systemach wartości, którymi kierują się jednostki i narody, tzn. że stopniowo będą zanikać wybujały egoizm, agresywność, chciwość i wyzysk, a będzie wzrastać ranga sprawiedliwości, uczciwości, altruizmu, miłości i innych tradycyjnych cnót. Niestety – tak jak ostrzegali Keynes – są to procesy bardzo powolne i nie można obiecywać sobie rychłego przejścia do takiego raj. ©P

W sieci megatrendów

John Maynard Keynes przestrzegał innych przed formułowaniem wniosków na temat gospodarczej przyszłości, twierdząc, że nie sposób uogólnić czegoś, co nie istnieje. Przecież przyszłość dopiero ma nadejść. Mimo to zaryzykował prognozę, co nas czeka za 100 lat. No i wielce się pomylił, spodziewając się dużo wyższego poziomu produkcji i nawet ośmiokrotnie wyższego standardu życia w krajach już wtedy rozwiniętych, jak choćby w jego rodzimej Wielkiej Brytanii. Pomylił się, bo patrząc w przyszłość, przyjął kilka założeń, które się nie sprawdziły, zwłaszcza dwa: że nie będzie wojen i że opanowany zostanie problem ludnościowy. Miał rację, twierdząc, że główny problem gospodarczy – zaspokojenie rozsądnych ludzkich potrzeb – jest rozwiązywalny. Mylił się natomiast, uważając, że w perspektywie jednego wieku można to zrobić.

Problem gospodarczy nie mógł być rozwiązany w ciągu poprzednich 100 lat, nie będzie rozwiązany i podczas 100 następnych. A wszystko dlatego, że do zagwarantowania upragnionego rozwoju społeczno-gospodarczego nie wystarczą tylko dwa czynniki, szczęśliwie dane już nam od jakichś 300 lat: zdolność do akumulacji kapitału oraz postęp techniczny. Ten pierwszy jest przesłanką inwestowania, co poszerza moce wytwórcze, ten drugi podstawą wzrostu wydajności pracy. Potrzebna jest jeszcze umiejętność mikroekonomicznego zarządzania i makroekonomicznej polityki, tak aby rosnący potencjał mógł być w pełni wykorzystywany. Współcześnie i w zbliżających się czasach na tych obszarach będzie zarówno więcej szans, jak i zagrożeń, w związku z nakładaniem się w unikatowy sposób megatrendów rozwojowych, jakich nie znają dzieje ludzkości: globalizacji, kolejnej rewolucji naukowo-technicznej, przewartościowań kulturowych, społecznych i politycznych.

Te słowa – dokładnie tak, co do przecinka i kropki – napisałem osiem lat temu. Cóż, upływa kolejna dekada i nic dodać, nic ująć. Nadal przy takim szczeblu uogólnienia trafne zapowiedzi i przewidywania się nie dezaktualizują, aczkolwiek sytuacja zmienia się na wielką skalę, zarówno w czasie, jak i w przestrzeni. Niewątpliwie, pomimo ogromnego postępu wiedzy – w tym także ekonomicznej – zakres niepewności w odniesieniu do zjawisk i procesów gospodarczych od czasów Keynesa się zwiększył. Zwiększył się również od niedawnej przeszłości, gdy w latach 2007–2013 pisałem i publikowałem swoją trylogię o świecie. Tym bardziej, obok nieustannego pogłębiania wiedzy teoretycznej i studiowania jakże różnicowanych doświadczeń praktycznych, trzeba ćwiczyć wyobraźnię. Keynes w swoim esejie do niektórych spraw podszedł zbyt optymistycznie. Ale ma rację, że w przyszłości będziemy pracować dużo krócej. Już pracujemy krócej niż w jego czasach. Kiedyś – teraz już nie w aż tak odległej przyszłości, gdy faktycznie pojawią się dobroczynne skutki obecnej fazy rewolucji naukowej i technologicznej w sferze automatyzacji, robotyzacji i sztucznej inteligencji – będziemy pracować jeszcze krócej i żyć zarazem na wyższej stopie, wzrost wydajności pracy jest bowiem procesem nieustannym.

Podobnie jak Keynes opieram te stwierdzenia na założeniach. Główne z nich: będziemy gospodarować w warunkach pokojowych. Keynes się pomylił. Mam nadzieję, że ja się nie mylę. Ale to wciąż tylko nadzieja, bo pewności nie ma. O to, aby tak było, trzeba nieustannie zabiegać. To nieubłagana lekcja z dotychczasowego biegu dziejów. Tym bardziej że eksperci przesuwać wskazówkę na zegarze zagłady znowu w 2020 r. popchnęli ją do przodu; do symbolicznej północy jakby coraz bliżej.

Niestety, rok 2020 zbliżył nas do niej jeszcze bardziej. Pomimo to nie powinno nam brakować doży optymizmu, ponieważ dzięki ludzkiemu geniuszowi i wielkim osiągnięciom współczesnej cywilizacji na polu nauki, techniki i kultury masa doskwierających nam problemów jest rozwiązywalna. Teoretycznie. Kłopot tkwi w tym, że choć teoria ekonomii umie nam w miarę zadowalająco wyjaśnić, co i dlaczego dzieje się akurat tak, a nie inaczej, to polityka nader często nie potrafi wynikających z nauki wniosków zastosować w praktyce. Sedno sprawy to przejście od teoretycznej ekonomii do praktycznej polityki (a na szczeblu mikro do zarządzania firmą), od nauki objaśniającej do praktyki decydującej. Kluczowe jest łączenie tych ujęć, swoisty sprzęgający je interfejs. Oczywiście, jak ktoś chce uprawiać ekonomię wyłącznie opisową, to może. Podobnie jak uczonej medyk może ograniczać się w swoich badaniach jedynie do aspektów analizy i diagnozy. Społeczny sens ich wysiłków polega na tym, że obok są inni – medyk wiedzący, jak dbać o zdrowie i ekonomista podpowiadający, jak poprawiać gospodarkę.

Nie ma zatem i nie będzie „nowego Keynesa”, bo nie jest to ani możliwe, ani konieczne. Potrzebna jest wielowątkowa, nieortodoksyjna myśl ekonomiczna, która może być przydatna w polityce gospodarczej i zarządzaniu w krajach tak różnych jak USA i Chiny, Polska i Bangladesz, Francja i Egipt czy Japonia i Brazylia. Nie potrzeba nam 200 teorii ekonomii dla 200 gospodarek narodowych, ale nie można narzucać wszystkim jednej jedynie słusznej teorii. Teoria wszystkiego nie istnieje. Żłudne przeto jest jej poszukiwanie; zostawmy to alchemikom. Pożyteczne natomiast jest konstruowanie zorientowanych praktycznie teorii, jeśli nieustannie pamiętamy, że ekonomia i polityka gospodarcza są kontekstualne. Co może sprawdzać się w jednym miejscu i czasie, gdzie indziej i kiedy indziej może dawać wręcz szkodliwe rezultaty.

Przy takim podejściu do sprawy warto wskazać na inspirujące wątki nowoczesnej myśli ekonomicznej adekwatne do wyzwań rozwojowych. Warto tu wymienić eksponującą znaczenie innowacji koncepcję „masowego rozkwitu” Edmunda S. Phelps’a, „nową ekonomię strukturalną” Justina Yifu Lina, „ekonomię wspólnego dobra” Jeana Tirole’a czy ekonomię „progresywnego kapitalizmu” Josepha E. Stiglitz’a. Na tym obszarze plasować trzeba również nowy pragmatyzm – propozycję integrowania ujęcia opisowego i postulatycznego ekonomii troszczącej się o gospodarke umiaru i jej wszechstronnie zrównoważony rozwój. ©P